



pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Chorążyczna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasydy Kulikowskiej.



Joanna Lipska codziennie przechodziła koło wielkiego gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, lecz najlżejszej uwagi nań nie zwracała. Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami wielkich jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiedzą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie posiadając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwiniona o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy, i nigdy wielki gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak mała ze swem skromnem nazwiskiem, ze swem zupełnem

A... B... C...

(w streszczeniu.)



ubóstwem i ze swą szczupłą dziewczęcą kibiłką! Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, zpod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych, jak len, gładkich i lśniących nad czołem, — w prosty, ciężki warkocz zwinionych z tyłu głowy. Czerę twarzy miała bladawą i często zmęczoną, małe różowe usta i wielkie szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młoda była i niewątpliwie ładna, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej od razu jedno z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Joasia szła zawsze ulicami miasta śpiesznie, a drobne i kształtne jej stopy prędko, prędko stąpały po nierównych



kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowanie, wzniesione uściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę i popatrzała na robotników, pracujących u szczytu rusztowania, popatrzała chwilę i pobiegła dalej. Pomiedzy nią a tym gmachem, wielkim i napelnionym posepnymi dz wiekami sporów i zbrodni, cöz wspólnego być mogło?\*

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosila żalobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleźć sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata.

Dopóki żył stary ojciec, wiedziała, że żyje dla niego, a także nie znała nędzy. Teraz chodziła po świecie z niestanną myślą:

— Na co ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodna i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

— Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, a koszule jego drą się już w kawałki! A tu ja jeszcze siedzę mu na karku!

Była to troska dla niej tak wielka, że ilekroć nikt jej nie widział, drobne jej ręce załamywały się rozpaczliwym ruchem, lzy młode, więc rześiste, opływały policzki, a drżące z żalu usta szeptały pytanie:

— Na co ja komukolwiek, czy czemukolwiek na świecie przydać się mogę?

Znała młode dziewczęta, co w takim samym mniej więcej położeniu będąc, czuły się zadowolone i spokojne. Ona jednak tak żyć, jak tamte, nie mogła. — Czemu? — Może z natury już miała inne serce, inny charakter, — może z książek czytanych wyrozumiała, że każdy człowiek powinien żyć z własnej pracy, powinien być pożytecznym członkiem społeczeństwa, a może wszczepił w jej duszę te wzniosłe zasady nieboszczyk ojciec, który na krótko przed śmiercią stracił był posadę profesora w szkole miejskiej. Oddalono go jedynie za to, że miłował gorąco to, co miłowali jego ojcowie: ziemię i mowę ojczystą... O gdyby go nie było spotkało to nieszczęście, inaczej po-

wodziłoby się teraz jego dzieciom na świecie... Ale cöz, nie otworzy się ojcowiska mogła na cichym cmentarzu, nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiała głowa profesora o zaczerwienionych powiekach i wysokiem czole, w tysiąc zmarszczek pokrajaniem. Siwizną okryła włosy, zmarszczkami zorała twarz ta jedna, straszna chwila, w której mu powiedziano, że niema już dla niego miejsca w szkole, że musi wyrzec się pracy... Nie długo już potem żył: odszedł nietylko ze szkoły, lecz i ze świata... A przed córką jego stanęło pytanie: co czynić, aby nie być nikomu ciężarem, aby pracować uczciwie i pracą swoją przynosić pożytek nietylko sobie i bratu, lecz i bliźnim!

Pytanie to dręczyło ją długo, bo nie mogła znaleźć żadnej odpowiedzi. Aż pewnego dnia wbiegła prawie wesoło na górne piąterko domu, w którym mieszkała razem z bratem Mieczysławem. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipsy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy, a wąskimi drzwiczkami od podwórza i mieszkała rodzina właściciela szynku. Podwórze rościło się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę dziewczyny, która stanęła pośrodku kuchenki, zamysłona i nieruchoma. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czem z taką rozkoszą marzyła?...

Obudziła się z zamyslenia swego, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to ruch radości. Z dziecinną też prawie radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała:

— Cicho!

Potem, cichutko znowu sama siebie zapytała:.

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapce leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, ładną, ale której białosc niemal papierowa razila pozorem niezdrovia i martwoty tem przykrzej, że odbijała od krótkiego czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów.



Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmiałym, ale trwało to krótko. Smutne przejścia w szkole i rodzinie odebrały mu wcześniej zdrowie i młodzieńczą wesołość. Szkołę, po ukończeniu zaledwie pięciu klas gimnazjalnych, musiał opuścić, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w biurze jako urzędnik. Przyszłość jego była złamana na zawsze.

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz? — pytała nieśmiało Joasia.

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i jeszcze nie wyspany po ciężkiej pracy biurowej, zapytał:

— Ha?

Ale wnet usta mu zamknął prawdziwy grad pocałunków. Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już, Mieczku, mam! mam czego chciałam! znalazłam!

Leniwie, obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia, i przewlekłym trochę głosem zapytał:

— No, coż tam takiego? Istna wariatka z ciebie. Co znalazłaś? pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie... Robotę...

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wyciął je chustką, włożył napowrót, i z za ciemnych szkieł, zaczerwienionymi mrugającymi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

— Jaką? a pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu, po raz pierwszy, wszystkie swe troski i zmartwienia, które dotąd daremnie zasnucac go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania dokądkolwiek, na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... dokądkolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. Sama nie wiedziała dobrze do czego zdątną być może, bo uczyła się tylko w domu, niewiele... To co umie, umie dobrze, uczył ją przecież sam ojciec, który był znakomitym profesorem... Ale to niewiele... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa i jej starań potrzebuje...

Tu, w szarych oczach opowiadającej dziewczyny zakręciły się łzy, lecz wnet

zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta zamożna i położenie ich znająca, zapytała, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujących. Naturalnie propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na naukę, bo tam przy turkocie magła, uczyć się nie sposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z nimi na naukę przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład syn ślusarza, co wiecznie siedzi w szynku i pije, a którego matka zabija się praniem bielizny! Już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwodzić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze dziewczynka mularza, który w tym roku piec im naprawiał i córkę z sobą czasem przyprowadzał, jest malutka Marysia, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te Joasia zna już dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochrała jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, jak jego matka prała bieliznę. Ten śmieszny Kostuś taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; urwisz z niego, ulicznik, wódkę już lubi — a jednak dla niej łagodny, jak baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Marysi, to oddawna już rozmiłowały się w sobie nawzajem.

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem dlaczego, ale tak jest... Może to po ojcu, który był profesorem i nauczał dzieci... Ot! myślałam i wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka, z ierze się miarka, a później..

Wszystko to mówiła z wielkim i coraz większym zapalem; w ciemnym pokoju, z oknem od północy, żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak po czołe mknęły widoczne blaski i rumieńcem wezbranego życia staczały się na policzki. Skończywszy mówić, podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej dali widziała jakąś tęczę, która zawisała nad szarem jej życiem.

Mieczysław siedział prosto i sztywnie, zza okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym, albo jeszcze sennym. Nagle zapytał:

— No, a ile płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia, czy marzenia. Natychmiast górną, rozwiewną tęczę opuściła dla spraw powszednich, które miały dla niej ogromne znaczenie. Wesoło znowu powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielki, jednak w ich wspólnym życiu zaważy wiele. Zresztą to tylko początek... ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka i później, później...

Rozmawiali tak chwilę jeszcze, radując się nadzieją lepszej przyszłości, poczem Mieczysław wyszedł do biura, a Joasia, pogrążona w myślach, sama jedna pozostała w mieszkaniu.

Przy zapadającym zmierzchu, zdołu, spod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły wołania głośniejsze, niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza pijaka i żony jego praczki. Po drodze, sukni jej uczepliła się dziewczynka malutka, bosa, rumiana i z kaczmi ruchami, obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na podwórze, za nimi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą

obrętkłą od pijaństwa, zalzawionemi oczami i wielką rozczochraną czupryną nad wązkiem czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek jego przyzwyczajen, nie był jednak dnia tego pijany; tylko czegoś uradowany i rozrzewniony. Za progiem swego mieszkania pochylił się i schwyciwszy rękę Joanny, z całej siły swych warg ją całował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, ciężki, cały w grube płótno odziany, bosemi stopami ciężko o kamienie uderzając, ze dzbankiem pełnym wody pobiegł na schodki, prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał (n czasem Joannie różne drobne, gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi zpod brwi, nieufnie, czasem przebiegłe i ze złością. Matka, zapracowana i wiecznie zgryziona, często lajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopałki cygar i obwarzanki, cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznania życia był mu — szynk. Jednak od niedawna dzie inne jego serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innym, niż uczucie krzywdy, bojaźni i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek, jak te, które mu opowiadała, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej w czem mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami podniesione kolana i patrząc na nią już nie zpod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztroprnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Maryśki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, a bardzo często widzieć ich można było trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na schodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*Eliza Orzeszkowa.*





## Głos ciekawych

### Czytelniczek.

Wielką uciechę sprawiła nam „Zorza“, gdy przyszła do naszej, śniegiem zawianej, Posady Olchowskiej.

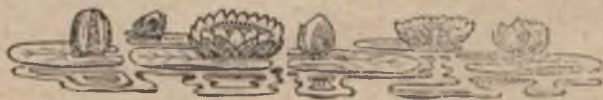
Czytałyśmy wszystko, ale jedno najbardziej zbudziło naszą ciekawość. Oto w ustępie: „Święto Sienkiewicza w Poznaniu“ jest n.c.w.a, że na cześć Jubilata odbyły się w tem mieście deklamacje, gra w teatrze, a między innymi odczytano także piękną powiastkę Sienkiewicza, pod tyt.: „Za chlebem“. Tej powiastki nie znamy. Jeżelibyśmy nie zrobiły w tem wielkiego trudu, prosilybyśmy uprzejmie o powiedzenie w „Zorzy“, co się stało z tą biedną Marysią, która wyszła do Ameryki, zapewne za chlebem, ze starym swym ojcem.

Proszę się nie gniewać za naszą ciekawość i śmiałość, że niemal narzucamy pracę, jednak praca ta, może zaciekawi nie jedną z nas kobiet, naszą „Zorzę“ czytających — a to choć w cząsteczce pracę drogiej Redakcji wynagrodzi. Od nas wiele ludzi idzie do Ameryki, więc ciekawe jesteśmy, czy prawdziwie to Sienkiewicz opisał.

Jak się ośmielimy, napiszemy i my co do naszej gazetki „Zorzy“, choćby na razie podziękowanie za powiadomienie nas o losach tej biednej Marysi za morzem.

Tymczasem pozdrawiamy Szanowną Panią najserdeczniej. Z życzliwością oddane, a szczerze ciekawe Czytelniczki „Zorzy“:

*Anna Zapotoczna, Zielińska Teresa, Zielińska Elżbieta, Antonina Szczepna, Kosztołowiczowa Tekla, Kluskowa Tekla.*





## Ōdpowiedź na „Głos ciekawych Czytelniczek“.

**J**aka to szkoda, że Lwów leży tak daleko od Posady Olchowskiej! — myślałam z żalem, przebiegając oczyma zbiorowy Wasz list, Szanowne i drogie Czytelniczki. — Miałam pisać, wolałabym zasiąść z Wami w którejkolwiek chacie do kądzieli i szczerzej pogwarki. O iluż to sprawach możnaby wtedy pomówić, ile ciekawych rzeczy powiedzieć i wzamian od Was usłyszeć! — Jaka szkoda, że Lwów leży tak daleko od Posady Olchowskiej!

Ale cóż robić! Niepodobna być jednocześnie w kilku naraz miejscach. Dobrze i to, że mamy przynajmniej swoją gazetkę, przy której pomocy możemy jako tako porozumiewać się, chociaż nie lada jaka dzieli nas przestrzeń.

Więc radebyście wiedzieć, co się stało z oną Marysią, której smutne losy Sienkiewicz opisał w swojej powiastce? — Dobrze! Postaram się odpowiedzieć, jak jeno potrafię najlepiej, na Wasze pytanie.

Było to tak:

Wawrzon Toporek posiadał wcale nie złe gospodarstwo w Wielkopolsce, we wsi Lipińcach pod miastem Poznaniem. Ale zaczął się procesować z sąsiadem o jakąś drobnostkę, wydał sporo grosza na sądy, potem sprawę przegrał, a że nie miał czem płacić, zajęli mu konia, jego zaś samego za opór skazali do aresztu. Z powodu tych nieszczęść spóźnił się ze zbórkami i zwózką zboża, potem przyszły deszcze i całoroczny plon zmarniał mu do szczętu.

Bieda zajrzała do chałupy dostatniego przedtem chłopca. Owoż w onym smutku

i zmartwieniu gorzkiem poszedł szukać pociechy tam, gdzie mógł znaleźć jeno zgubę — poszedł do karczmy.

W karczmie spotkał Niemca oszusta, co był agentem towarzystwa przewozowego i brał procent od sztuki, więc ludzi tumanił i za morze ich wywoził. Ów Niemiec jął mu powiadać cuda i dziwy o Ameryce. Upewniał też między innymi, że do każdego chłopca polskiego, co wysiada z okrętu w amerykańskim mieście Nowym Jorku, podchodzi wnet komisarz od rządu i wydziela im tyle ziemi za darmo, ile kto chce — i z lasem, i z łąkami.

Wawrzon słuchał, słuchał i zaczął wierzyć, zwłaszcza, że Niemiec pokazywał grube pieniądze, a żyd wtórował zawzięcie jego obiecankom. No i słowo za słowem, Wawrzon Niemca dłonią w dłoń uderzył, do świętego Michała się wyprzedał i z jedynaczką córką Marysią do Ameryki popłynął.

— O Najświętsza Panienko, jakież ten Wawrzon był łatwowierny! — pomyślicie sobie zapewne, miłe Gosposie, — A jak źle zrobił, że świętą ziemię sprzedał! U nas gospodarz ojcowizny by nie sprzedał: U nas ludzie jadą do Ameryki na zarobki, aby grunt oczyścić z długów i kęs roli dokupić... I jakoż to będzie? Wszak o chłopach wielkopolskich powiadają zawdy, że to ludzie światli i do ziemi strasznie przywiązani...

Powyższe uwagi, — jeżeli przyjdą Wam do głowy, — będą bardzo słusne. Lud w Wielkopolsce, oświecony i mądry, nie daje się bałamucić Niemcom. A rolę dotrzymuje dla dzieci z taką miłością, że



nietylko Niemiec, ale sam nawet kusy djabeł nie poradzi wydrzeć mu ojcowizny z silnych rąk. Powiastkę zaś swoją Sienkiewicz napisał przed dwudziestu kilku laty, kiedy gorzej działo się po wioskach, a ludzie nie prawie nie wiedzieli o Ameryce. Autor chciał przytem wykazać, że bez koniecznej potrzeby nie godzi się opuszczać ojczyzny i że łatwiej zginąć wśród obcych, obojętnych ludzi, niż wśród swoich, co mają serca litościwe, miłością bliźniego ożywione.

Ale wróćmy do Wawrzona Topora i jego córki Marysi.

Podróż od początku niepomyślnie jęła się im zapowiadać. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy, na statku, wśród bezbrzeżnej wody, trapiła ich choroba i tęsknota żarła serce. Cniło im się za chałupą — za wioską. Wawrzonowi, gdy patrzył na wodę, co się rozlewała dookoła, a nieraz huczała groźnie i biła pianą, stawała przed oczami ziemia polska, droga ziemia ojców, „jednym łanem się kołysząca, borem zarosła, słomianemi strzechami upstrzona, pełna łąk, od kaczęńca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, — ona ziemia, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami: „Pochwalony!“ wita, a „Na wieki wieków!“ odpowiada; ona wielmożna, ona matka najśodsza, taka poczciwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie!”

A Marysi było jeszcze smutniej, bo hań za morzem, w onej cudnej ziemi polskiej ostała jej dola, jej miłowanie: ostał Jaśko Smolak...

Na statku siedząc, wśród obcych ludzi, co szwargotali po niemiecku, wspominała, niby piękne jakie granie, co Jaśko powiedział jej kiedyś, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem. Poszła do studni, do żorawianej, w Lipińcach, wodę brać. Pierwsze gwiazdy migotały już na niebie, a ona stała przy studni i śpiewała: „Jaśko konie poił, — Kasia wodę brała“ — i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem swiergocze żałośnie. Wtem na jej śpiewanie z pod boru, z pod ciemnego nadjechał Jaśko Smolak, zeskoczył z konia i tak szeptał do niej drgającym głosem:

— Kiej się twój tatulo uparli, to i ja pojedę za wami... Maryś moja, gdzie ty będziesz, tam i ja żorawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym

pierścieniem po gościńcu się potoczę, a znajdę cię, jedyna! Jedno nam życie i jedna śmierć. A jakom ci tu, nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeśli ja cię opuszczę, Maryś moja!

Te słowa Marysia chowała głęboko w sercu, razem z nadzieją, — droższe jej były, niż kraśne korale, — droższe, niż wszystko inne na świecie...

Skończyła się nakoniec utrapiona podróż, ale nie skończyły się ich utrapienia. W Nowym Jorku, w wielkiem, nieznanem mieście, było im jeszcze straszniej i puściej, niż na statku.

Stanęli pod ścianą pierwszego domu i czekali na owego komisarza od rządu, o którym Niemiec powiadał, że przyjdzie i da ziemi, ile zechcą. Ale komisarz nie przyszedł ani tego dnia, ani nazajutrz, ani dni następnych. Biedne serca chłopskie dygotały trwożą, ściszały się bólem na myśl: co poczują? co dalej będzie?

Roboty nijakiej znaleźć nie mogli. Trudno bywa o nią i w Ameryce. Czytelniczki „Zorzy“ wiedzą o tem. Wie i Zosia Pawlikowska z Małego Cichego w Tatrach, której brat nie mało zaznał biedy w Ameryce i pisał, jako tam co dnia taka moc ludzi wyczekuje na placach zarobku, że w mieście, w Nowym Targu, niema ich telo ani w czasie jarmarku. Aże Zosia, dobra siostra, dawała na mszę na jego intencję, coby ino robotę jaką nalazł.

Wawrzonowi i Marysi nie szczęściło się. Dopóki mieli mało-wiele pieniędzy, co im ostały z podróży, siedzieli w jakiejś izbie wilgotnej i kupowali sobie co dnia odrobinę ziemniaków. Nędzne to było życie. Wawrzonowi włosy zbieleły od zgryzoty i barki się przygarbiły. Marysina twarzyczka stała się taka blada, jak ów śliczny kwiatek, co pierwszy z pod śniegu wychyla główkę. Coraz częściej stawały jej teraz w pamięci Lipińce i Jasiiek, bo w niedoli i tęsknicy myśl tak się owija koło miłowanych, jak chmiel koło topoli. Ale on, ale Jasiiek, czy o niej, biednej, jeszcze pamięta? Czy pamięta, jako jej obiecał: „Gdzie ty się obrócisz i ja się obrócę“.

Nadszedł nakoniec dzień straszny, w którym nie mieli za co kupić ziemniaków, nie mieli czem zapłacić za brudną i wilgotną izbę, w której mieszkali. Właściciel onej izby, człowiek bez serca, z rodu Murzyn, wyгнаł ich na ulicę...

Głodni, zziębnięci, z rozpaczą w duszy, poszli chwiejnym krokiem daleko



nad morze i ułożyli się do snu na pomostach nad wodą.

Marysia usnęła wnet z wielkiego osłabienia, ale Wawrzon nie spał. W duszy jego, miotanej rozpaczą, niby wichrem, zrodziła się myśl okropna. Postanowił położyć koniec nadludzkiej męce, postanowił utopić najpierw Marysię, a potem samemu rzucić się za nią do morza.

Zbudził córkę głosem tak strasznym, że wnet się zerwała z łękiem.

— Dziewczyno — mówił do niej prawie nieprzytomnie — już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdziesz ty pod ludzkie progi o chleb prosić; nie będziesz na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła...

Marysia zrozumiała straszne słowa i przerażenie ją ogarnęło. Miała ośmnaście lat i nie chciała umierać, nie chciała być topielcem i leżeć wśród ryb i potworów morskich na ślizkiem dnie. Jęła więc prosić, — błagać zmiłowania:

— Tatulio serdeczny, złoty, ulitujta się nademną! Co ja Wam uczyniła? Dyc ja nie narzekała na moją niedolę, dyc ja z Wami cierpiała głód i zimno... Miłosierdzia! miłosierdzia! jać dziecko Wasze, jam biedna, chora: mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żał! Ja się boję!

Lecz Wawrzon, nieprzytomny, oszalały z rozpacz, spychał ją z desek w wodę. Szamotali się ze sobą. Marysia czuła, że słabnie z każdą chwilą, aż nagle zawisła w powietrzu, ręce jeno trzymały się ojca, ale ręce omdlały i dziewczyna poleciała w przepaść...

Spadła z pomostu, po drodze jednak uczepiła się belki i zawisła nad wodą.

Wtedy, w obliczu strasznej śmierci, wichrem przeleciały jej wspomnienia przez głowę. Zbaczyła se Lipińce, studnię, Jaśka, podróż, nędzę, wycierpianą w Ameryce... Nakoniec, — co to się z nią dzieje?... Jasnosc jakowaś oczy napełnia. Widzi na morzu okręt ogromny, na nim tłum ludu, a z tego tłumy dwie ręce wyciągają się ku niej. Na Boga! to Jaśko tam stoi, Jaśko wyciąga ręce, a nad Jaśkiem Matka Boska, uśmiechnięta, w jasności wielkiej"... Marysia na ten widok ostatni raz podnosi oczy ku ojcu, wołając w zachwyceniu:

— Tatulio, tam Matka boska! tam Matka boska!

„Chwila jeszcze i te same ręce, które spychały ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona: ale ramiona ojca, nie kata i głowa pada na pierś ojcowską“...

Gdy Marysia ocknęła się z omdlenia, zobaczyła, że ojciec leży krzyżem obok niej i strasznie płacze.

— Maryś, — ozwał się łkając — odpuść mi, dziecko. .

Dziewczyna przytuliła usta do jego ręki i wyszeptala cichutko osłabionym głosem.

— Tatulio! niech Wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

A potem usnęła głęboko.

Kiedy świtanie pobielilo wodę, Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

„Myślał, że umarła Wismukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz bladą, jak płótno. Naprawdę wstrząsał ją za ramię. Ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy rękę do jej ust, poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał jednak, że może umrzeć lada chwila“.

Tymczasem mgła poranna rozstępowała się z wolna pod tchnieniem zachodniego wiatru, potem wstało słońce. „Promienie jego, schodząc coraz niżej, rzuciły swoje złote światło na martwą twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych rozrzuconych włosów była to twarz poprostu anielska. Bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

„Śliczny różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę, ptaki morskie, kręcąc się wiankiem, krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon, zdjąwszy z siebie sukmanę, przykrył nią jej nogi i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

„Jakoż siność ustępowała z wolna z jej twarzy, policzki poróżwiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, nakoniec otworzyła powieki.

„Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba i lzy dwoma strumieniami popłynęły mu po zmarszczonych policzkach“...

Marysia zbudziła się zdrowsza, rzeźwiejsza i oboje z ojcem poszli teraz ra-



źniej jakoś przed siebie, ku miastu, szukać ratunku.

I poszczęściło im się nad wszelkie spodziewanie. Oto spotkali jakiegoś wąsatego siwego pana, który wyczytał ze zbiedzonych twarzy całą ich niedolę i sam zbliżył się ku nim z bratnią pomocą. Pan ów był Polakiem, — nazywał się Złotopolski, pochodził z tych samych stron, co oni, z pod Poznania, — a chociaż od czterdziestu lat przebywał w Ameryce i dorobił się dużego majątku, o ojczyźnie nie zapomniał, owszem chował w sercu gorącą miłość dla wszystkiego, co polskie, co swoje.

Ta miłość kazała mu otoczyć serdeczną opieką nieszczęśliwą Marysię i jej ojca. Jakoż zabrał ich oboje do siebie, do gościnnego swego domu, gdzie wypooczyli przez dni parę i pokrzepili się na duchu i ciele, a potem pożyczył im sto dolarów na gospodarstwo i wysłał, wraz z liczną partją wychodźców, nad amerykańską rzekę Arkanzas, gdzie powstawała właśnie nowa osada polska, którą nazwano Borowiną.

W onej osadzie z początku nieźle im się działo. Wawrzon, podobnie jak inni osadnicy, wyrąbywał zawzięcie grube drzewa, aby chatę zbudować i kawałek pola wykarczować. A Marysia krzątała się koło gospodarstwa, prała chusty, warzyła strawę. Świeże powietrze leśne wnet wróciło jej siły i zdrowie, wnet okryło słodką twarzyczkę żywym rumieńcem. Wszyscy młodzi chłopcy mówili bez wyjątku, że Marysia to najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek oko ludzkie widziało. Ale jeden zwłaszcza, najharmniejszy wśród nich, Orlik, rozmiłował się w niej na zabój i chciał pojąć za żonę.

Marysia podziwiała siłę i zręczność Orlika, była mu wdzięczna, że pomagał ojcu w robocie, ale wydać się za niego nie mogła. Jeden był tylko taki, za którymby poszła na kraj świata, jeden Jaśko w Lipińwach. Więc odpowiadała ojcu, który chciał ją dać Orlikowi:

— Nie niewólcie mnie, tatulo; komu ślubowałam, tego będę, albo niczyja.

Tymczasem przyszły rozmaite klęski na osadę. Ludzie zaczęli chorzeć od ciężkiej

roboty; zachorował i Wawrzon. Potem wyczerpały się zapasy żywności, a nowych nie było skąd wziąć, bo dookoła puszcza i puszcza. Ludzie, jak to zwykle bywa w nieszczęściu, poczęli kłócić się ze sobą, narzekać i tracić otuchę. Jedną tylko Marysia była pogodna i cicha, tak wielkiej mocy nabrała jej dusza w niedoli.

— Wola Boga — mówiła, podnosząc ku niebu oczy błękitne, jako haber — ale byłci On nam miłosierny, to i teraz nas nie opuści.

Tą razą jednak nadzieja ją zawiodła. Na osadę spadło nowe, najstraszniejsze nieszczęście. Od ulewnych deszczów wiosennych wezbrały olbrzymie rzeki amerykańskie i wystąpiły ze swoich łożysk...

W okropnej powodzi zginął Wawrzon i śmiały Orlik. Marysia ocalała wprawdzie cudownym niemal sposobem, ale poto jedyne, aby dłużej się męczyć i zejść z tego świata smutniejszą jeszcze śmiercią. Wróciwszy bowiem o żebrany chleb do Nowego Jorku, nie zastała już tam p. Złotopolskiego, który byłby jej z pewnością dopomógł. Pozostawiona bez opieki na pastwę nędzy i wszelakiej niedoli, dostała pomieszania zmysłów i wkrótce zmarła w zupełnym opuszczeniu, zdala od wszystkiego, co było jej blizkie i drogie.

\* \* \*

Taką jest — pokrótce opowiedziana — treść powiastki Sienkiewicza, dość długiej, bo obejmującej sto kilkanaście stron książki zwykłej wielkości.

Żal ściska serce za tą Marysią, co zginęła za morzem, niby liść, oderwany od rodzimego drzewa, — żal tem głębszy i ostrzejszy, że nie jedna z dziewcząt naszych, wychodzących z kraju za chlebem, ginie marnie w ten lub inny sposób... I jak zaradzić złemu? Gdzie, — w czym szukać ratunku?.. Ano, w jednej chyba oświacie. Im więcej będą wiedziały o świecie, o życiu, im będą mądrzejsze, tem łatwiej im będzie walczyć z losem i opierać się pokusom... Szerzmy więc tę oświatę dobroczynną, miłe Gosposie, każda w swoim kółku, — szerzmy gorliwie wedle sił i możliwości...  
M. W.







MAŁY MUZYK WIEJSKI,  
pewnie tak rozmiłowany w skrzypcach, jak nieszczęśliwy Janko z powiastki Sienkiewicza.





## — Hołd ludu. —

**W**ymówki ostre, zarzuty ciężkie spotykają „Zorzę”. — Ludzie markocą się, dziwiają i gorszą, że pisząc o obchodach jubileuszu Sienkiewicza w Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie, gazетка nie wspomniała ani słóweczkiem o tem, co się działo w Tarnobrzegu. To znaczy: pominięła — przez zapomnienie, czy też namyślnie, — wspaniałą uroczystość, którą lud wiejski powiatu tarnobrzegskiego złożył hołd jubilatowi wcześniej, niż ktokolwiek bądź, bo jeszcze w końcu czerwca roku zeszłego...

Takie oto wymówki i zarzuty spotykają naszą gazetkę...

A ona jakoż ma poczynać? — Mogłaby wprawdzie zwrócić uwagę, że o tarnobrzegskim obchodzie pisał już w swoim czasie „Przyjaciel Ludu”, — że teraz we wszystkich pismach była jeno mowa o tem, co zaszło w grudniu, — mogłaby jednym słowem przebaknąć to i owo na swoją obronę. Woli jednak przyznać się szczerze do winy i zaraz tę winę naprawić, opowiadając z radością, jako to było w Tarnobrzegu.

Ze to chłopci mają serca gorące, więc postanowili wyrazić uroczystym obchodem wdzięczność swoją pisarzowi, którego książki podnoszą chwałę narodu.

Do obchodu przysposabiali się długo, pilnie, pracowicie. Gdy nadeszła jednak chwila stanowcza, starostwo tarnobrzegskie — do spółki z deszczem — usiłowało obrócić wniwecz piękne projekty. Staro-

stwo zabroniło zbierać składki na cele oświaty podczas uroczystości i rozpowszechniać powiastkę Sienkiewicza pt. „Bartek zwycięzca”. A deszcz lał od samego rana tak rześście, jak gdyby chciał zatopić cały powiat i na swój sposób uczcić Autora, który napisał piękną powieść pod tytułem „Potop”.

Ale wytrzymałość i silna wola chłopska przełamały wszelkie przeszkody. Lud ostał zwycięzcą, jako on Bartek Sienkiewicza. Książeczki, sprowadzone z Krakowa, rozprzedano na drugi dzień, a składki na cele oświaty popłynęły z ubogich kieszeni włościów przed obchodem. Zebrała się z onych groszy wdowich okazała sumka, coś koło stu koron. I deszczu nie przelekła się wiara chłopska. Powiedzieli sobie, że dalej, jako do skóry, przecie nie doleje — i puscili się w drogę z najdalszych wiosek, pieszo i wozami. Kiedy więc słońko uderzyło w Tarnobrzeg pięknym złotym promieni, było tam ludu moc. Przyłączyli się do nich mieszczanie, a także nauczyciele wiejscy i uroczystość wypadła wspaniale, przy ogromnym udziale publiczności.

Zaczęło się od muzyki. Zabrzmiały nasze hymny narodowe, ogniście, rycerskie! Młódz wiejska za ledwie może ustać w miejscu. Płoną twarze, drżą wargi — warem kipi mazurska krew w żyłach! Hej, pusciliby się w tany z wrogiem i teraz, jako drzewiej bywało, — za szwedzkich wojen, — za Kościuszki! — Hej, poskoczyliby na armaty, na moskiewskie, ażby zajęczała ziemia ukochana: „danaż moja, dana!”...



Muzyka zcichła, oklaski — głośnie, niby wystrzały z pistoletów — umilkły, zjawił się przed publicznością p. Wojciech Wiącek ze wsi Machowa i wygłosił odczyt o Sienkiewiczu. Opowiedział szczegóły z życia Autora, przypomniał treść głównych jego powieści i zakończył serdecznymi słowy o tem, za co lud go miłuje i za co składa mu hołd wdzięczności.

Potem coś się zabieliło nagle, niby stadko śnieżnych, trwożnych gąsek... To dziewczątka wiejskie... Wszystkie mają białutkie sukienki i czerwone wstążki. Jakoby inaczej! Wszak to barwy narodowe: białym był nasz orzeł, nasz ptak królewski, a chorągiew, na której błyszczał, czerwona, jako krew...

Dziewczynki uczyły się przez dwa tygodnie śpiewać pod kierunkiem p. Stanisława Stali, lecz teraz serca im biją, tak dziwnie biją!...

Ale dobry nauczyciel skinął smyczkiem pociągnął po strunach, aż mróz przebiegł słuchaczy i młode srebrne głosy wybuchnęły pieśnią, — wspaniałą bojową pieśnią:

Patrz, Kościuszko. na nas z nieba,  
Jak w krwi wrogów będziemy brodzić,  
Twego miecza nam potrzeba,  
By Ojczyznę oswobodzić!

Znowu oklaski, jak grzmot, i krzyki radośne: „Powtórzyć! powtórzyć!“ I dziewczęta śpiewają po raz drugi. Nie boją się teraz nic a nic, — ale serca im biją, wciąż biją!...

I jeszcze o jednym wspomnieć należy, a mianowicie o wierszu, wygłoszonym na obchodzie z wielką siłą i wzruszeniem przez włościanina, Jana Frankiewicza. Wiersz ów napisał Jan Kasprowicz, o którym nieraz już była mowa w „Zorzy“. A jeżeli podobały się Wam inne utwory znakomitego poety, pod wiejską zrodzonego strzechą, to ten wiersz podoba się zapewne jeszcze bardziej. Brzmi on, jak następuje:

Hej! ludu ty polski!

Hej! ludu ty polski! Siermiężna ty rzeszo:  
Nad Wisłą, nad Wartą, nad Sanem i Bugiem!  
Czy dolę ty lepszą wyorzesz swym pługiem?  
Czy iskry się święte w twej piersi wykrzeszą  
I z kosą ty pójdziesz na boje i znoje  
Dziedzictwo odbierać prastare a swoje?

Od wieków ty idziesz, smagany niedolą,  
I trudów i nędzy żelaznym wciąż biczem,  
A nie masz pociechy ty znikąd i w niezem,  
A rany zakrzepłe dziś bardziej cię bołą,  
Bo czujesz swe prawo do życia i stołu,  
Przy którym wciąż inni uczują pospołu...

Od wieków ty idziesz, krwią znacząc swe ślady,  
Po ostrym bezprawia stąpając granicę...  
Bóg Cię nagrodzi za krzywdy sowicie,  
A szatan nie zwalczy i nie da ci rady,  
Gdy jarzmo zrzuciwszy, ramiona swe młode  
Rozprężysz i pójdziesz zdobywać swobodę...

Na twoim sztandarze znak: „Żywią i bronią“  
Zgłoskami wyszyty złotemi widnieje —  
Z nim przyszłość się wiąże i nasze nadzieje,  
Że kiedyś na alarm po wioskach zadzwonią  
I lud się zgromadzi i kosy natoczy,  
Aż załsnia dokoła w powietrznej przeźroczy...

Na twoim sztandarze znak święty, jak imię  
Kościuszki, co wiarę prowadził na działa,  
A chłopci szli za nim, aż ziemia jęczała...  
Jak widma znikali w krwi, kurzu i dymie  
I ztamtąd do wodza przywłókszy armaty.  
Na jego cześć gromkie wznosili „wiyaty“...

Ten sztandar my znowu podniosiem do boju:  
Poszarpią go kule i proch go osmali,  
Lecz przed nim struchleją zastępy Moskali  
I Niemcy się złęką, a drżąc z niepokoju —  
Wydarte powrócą nam niwy i sioła,  
Bo naszej potęgi nikt złamać nie zdoła.

Hej! ludu ty polski! Od ciebie zależy  
Ojczyzny dziś naszej i przyszłość i chwala,  
Bo ona swą dolę w twe ręce oddała...  
Twa wiara i miłość wszystko złe zwycięży  
I ty ją podźwigniesz z wiekowej mogiły,  
Gdy mocen przystąpisz i świadom swej siły.

I twojej się spęka niewoli obroza,  
Bo w domu swym będziesz ty panem u siebie:  
Czas rany zablizni, rozterki pogrzebie  
I bratniej miłości zabłyśnię nam zorza,  
Co smutek z twej chaty wyżenie na wieki...  
Hej! czas to święteczny i już niedaleki...

Obchód zakończyło podpisywanie adresu do Sienkiewicza treści następującej:  
„Henrykowi Sienkiewiczowi, największemu powieściopisarzowi, wiernemu synowi Ojczyzny, szlachetnemu obywatelowi, dzielnemu obrońcy narodu polskiego w dowód czci i uznania, wdzięczni włościanie powiatu tarnobrzeskiego za wybi-



tną i niezmordowaną pracę na polu powieściopisarstwa, przez którą rozgrzał serca włościańskie dla sprawy ojczyźnej, składają hołd przez niżej umieszczone własnoręczne podpisy, w dzień obchodu 25-letniej rocznicy jubileuszu Jego pracy“.

Taką to piękną uroczystością święcił lud wiejski jubileusz Sienkiewicza. A jak się Wam zdaje, Przyjaciele, czy opowiedziałam o niej w gazetce, aby uniknąć wymówek, uchylić zarzuty, — czy też temu jedynie, aby rozweselić myśl, uradować serce sobie i innym? — Jak się Wam zdaje?... M. W.



## Listy do „Zorzy“.

*z Izlebe na Śląsku. W styczniu.*

Szanowni Czytelnicy!

Telo mam pracy przy spisie ludności, że jej zmagać nie mogę, ale choć w nocy do nowin, jak u nas powiadają, czyli do gazetki piszę, aby się pochwalić. My, Polacy, zwyciężyliśmy w Cieszyńskim przy wólbach, czyli wyborach do Rady państwa. Najprzód wybierała 5 kurja. Było dużo kandydatów Polaków i Niemców. Ale Niemiec przepadł, a został przy ściślejszych wyborach wybrany Cingier od socjalistów.

Potem z 4 kurji kandydowali od polskiej strony adwokat Michejda i adwokat Kreisel, a z niemieckiej jakiś Chlebus i Staniek. Chlebus miał nagotowanych naganiaczy, gdy szli ku wyborom do Cieszyna. Już w Jabłonkowie, już w Cieszynie zastępowali z kiełbasami i z napojem. Ale u nas ludzie nie radzi sprzedają swoje prawa za misę soczewicy. My byli za adwokatem Michejdą, który jest człowiek prawy i dobry Polak, bo Kreisel, ten niema jeszcze żadnych zasług w narodowości. Więc potrzeba było walczyć. Ale przecież przy pierwszym głosowaniu otrzymał adwokat Michejda głosów 334, a niemiec Chlebus 226, Kreisel 12, Staniek 26.

Więc my zwyciężyli. Jest to nie mała walka na Śląsku z Niemcem walczyć, bo za to, że dziś trzymie ster Niemiec. Ale przecież adwokat Michejda został wybrany.

Widać, że po ciemnościach i nam poczyna już świtać zorza. Rolnicy na Śląsku już wiedzą, wiela ile jest i jaką siłę mają.

Pracujemy też w naszych górach co sił. I staramy się o oświatę. Mamy u siebie szkołę czteroklasową, taką dużą, jak kany indzyl kościół i czterech rektorów. A z każdym rokiem więcej od nas idzie chłopców do gimnazjum polskiego, do Cieszyna.

Ja objąłem pisarkę gminną i wszystkie podania do urzędów piszę po polsku, bo po niemiecku ani nie umiem. I wszędy przyjęte bywa. Tylko przy gospodarstwie dużo mi to dawa pracy. A znowu przy kasie w naszej gminie, której jestem zwierzchnikiem, druga mozolna praca. Ale kasa nam się dobrze rozwija, telo mamy pieniędzy, co otrocin, więc górale dają i pożyczają. Tak się uczą gospodarzyć nasi ludzie.

My już dali nawet do Związkowej kasy 7000 koron, co tych pieniędzy niema kto brać z naszych ludzi, każdy chce wkładać.

A jak my zakładali kasę przed kilku laty, to się z nas śmiali i mówili: — A cóż Wy w tej górskiej biednej dziedzinie wkładać będziecie? Może skole, albo owies? — A ludzie tymczasem nauczyli się oszczędzać i zrozumieli, że ziarnko do ziarnka a będzie miarka. Co który zarobi w lesie lub przy koźbie, czy żniwach, to już nie straci, jako wprzód, jeno niesie do kasy. Co który podkarmi ze statku i sprzeda — niesie do kasy. Dziewczęta też zbierają na posagi.

Na tem kończę moich parę słów i wieszuję wszystko dobre drogiej Redakcji i drogim Czytelnikom.

*Jan Juroszek*  
prezes Kółka rolniczego.

*Zakopane—Kuźnice. W styczniu.*

Szanowne Czytelniczki!

Nie wiem, czy Wy w dolinach tak się radujecie tą miłą nam „Zorzą“, jako my haw w górach. My jak tylko odbierzemy z poczty, to zaraz ją sobie przeczytamy. A takie śliczne wierszyki w ostatnim numerze, że nawet śmiechu warta. Bardzo mi żal, że nie pisała tak długo do naszej gazetki, bo to koło świąt to tyle było roboty, że aż strach! Ale teraz naprawdę żalować, bo się już nie wróci stary rok. A nawet lepiej, że przybył nowy rok do nas, byle jeno Pan Bóg dał



dobrze, pożytecznie i szczęśliwie przeżyć te nowe chwile.

Nasza fabryka papieru, w której my usłyszeli po raz pierwszy o miłej „Zorzy“ i innych pięknych książkach, już nie idzie. Stała dnia 16. stycznia, bo już nie mogła iść na żaden sposób z braku wody. Tutaj w Zakopanem i w Kuźnicach taki był mróz, aż wody powylewało na drogi, że nie można nawet było przejść. Dopiero górale Zakopiańscy musieli poprzerębować. A w Kuźnicach to nawet robotników w nocy stało przy wodzie coś paru. Te nasze góry stoją takie mgłą pokryte, że teraz żyjemy jakby w jaskini, a my same jesteśmy jakby dzikie kozy.

Tylko śnieg i góry — więcej nic nie widać. Na wiosnę to choć ptaki śpiewają, a teraz nie usłyszysz ptaka, tylko górali. Bo wesel w Zakopanem tyle, że ma tylko ksiądz robotę z niemi. Dziewczyna jeszcze taka młoda, że mogłaby do szkoły chodzić, a już o mężu myśli, żeby się jak najprędzej wydać w tych męśopustach. No ale kiedy już tak, to niech im ta Pan Bóg błogosławi w tem małżeństwie.

Ale my, czytelniczki „Zorzy“, choć skończyłyśmy wszystkie klasy i jesteśmy dość stare, bo mamy po 16-cie i 18-cie lat, nie myślimy o wydawaniu się. Chcemy dla rodziców pracować, chcemy czytać, coby my były mądrzejsze, jako już ostatniemi gaździnami, kiedy nam się który bardzo uwidzi.

Teraz jeszcze dziękujemy za miłą nam „Zorzę“, z której jesteśmy bardzo rade, że takie kawałki śliczne sobie możemy przeczytać każdy miesiąc. Już tę najmilszą „Zorzę“ to już całe Kuźnice znają. Pozdrawiamy po niezliczone razy, wszystkie razem.

*Teresa Szelięa, Anna Hoła, Karolina Szmid,  
Anna Szelięa.*



## Rozmaitości.

**Dzień 22. stycznia**, jako rocznicę walki narodu polskiego o wolność, całość i niepodległość Ojczyzny, obchodzono i w tym roku ze zwykłą uroczystością. Młodzież zwłaszcza liczny i gorliwy brała udział w święcie narodowym, pragnąc przez to powiedzieć, że umie cześć pamięć bohaterów i sama jest gotowa do ofiar dla wysokich celów.

**Towarzystwo Uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza** w Krakowie, które ma na celu szerzenie oświaty wśród ludu miejskiego i wiejskiego, wydało wyborną książeczkę o powstaniu styczniowym z 1863 roku. Kosztuje ona tylko 5 centów. Towarzystwo wzywa gorącymi słowy ludzi dobrej woli, aby tę książeczkę, jasno, zwięźle i serdecznie napisaną, odczytywać cheieli, jako odczyt na zebraniach, przez siebie zwoływanych. W ten sposób każdy będzie mógł dorzucić swoją cegiełkę do pracy najdonioślejszej — do pracy nad oświatą ludu. Po tej pierwszej książeczce Towarzystwo wydawać będzie, co jakiś czas, i inne, dalsze. Zgłaszać się należy po tę pierwszą książeczkę i następne pod takim adresem: **Kraków — Uniwersytet ludowy.**

**Z uwagą jak największą** odczytajecie, proszę Was, drodzy Czytelnicy, początek powiastki, którą „Zorza“ podaje na miejscu naczelnem dzisiejszego numeru. Napisała ją najznakomitsza powieściopisarka polska, Eliza Orzeszkowa, a zezwalając na wydrukowanie jej w naszej małej gazecie, tak pisze z troską serdeczną o Was: „Oby z tych kilku stronie, choć pronyk drobnego światła, choć iskra szlachetnego ciepła padły w dusze rodaków moieli z ohat i warsztatów“...

Zostawić muszę na później opowieść, choćby najkrótszą, o książkach Czeigodnej Autorki, które porównać trzeba nie do iskier i promyków, ale do słupów ognistych, co rozpraszają ciemność i wskazują drogę. Dziś więc nadmienię tylko, że Orzeszkowa pisze wiele i z wielką miłością o ludzie wiejskim, a także miejskim i że pracę dla dobra tego ludu wskazuje w dziełach swoich jako obowiązek wielki, słodki a święty.

**Piosenka Trzechkrólowa.** Wszyscy lubimy dzień Trzech Króli, w którym to dniu gosposie



izucają w ogień garść święconego ziela od pio-  
runa, — gospodarze kreślą na drzwiach świę-  
coną kredą litery K. M. B. i krzyżyki, aby złe  
przystępu do nich nie miało, a chłopaki śpiewają  
cienkimi głosami, „jako ten słowiczek nad stru-  
mykiem, jak kukułeczka w bukowym lesie, jak  
jaskółeczka na podwórku“. Wszyscy lubimy dzień  
Trzech Króli, — więc nie weźmiecie mi pewnie  
za złe, że powtórzę, choć późno, piosenkę Trzech-  
królową, która podczas świąt wpadła mi w ucho.

Oto jest owa piosenka:

Wielką pustynią  
Piaszczystą,  
Za ową gwiazdą  
Złocistą,

Dźwigając skarby  
W szkatule,  
Idą z orszakiem  
Trzy króle.

A pierwszy siedzi  
Na słoniu,  
Przodując innym  
W ustroniu.

I wiezie dary  
Z ochotą,  
Ma w puzdrze mirrę  
I złoto.

A drugi dosiadł  
Wielbłąda,  
Ujrzeć Dziecinę  
Pożąda,

Boć dla Niej z swojej  
Krainy,  
Dźwiga diamenty,  
Rubiny.

A trzeci z ziemi  
Dalekiej,  
Z za siódmej góry  
I rzeki.

Na srebrnobiałym  
Bachmacie,  
W błyszczącej i stalnej  
Gua szacie.

On drogich darów  
Nie wiezie,  
Cały zakuty  
W żelazie.

Jeno ma szablę  
Święconą,  
W bojach z pogaństwem  
Skrwawioną.

Jeno tych pszczołek  
Miód słodki,  
W bukicie lilje,  
Stokrotki.

I biały kołacz  
Z pszenicy,  
I len z królewskiej  
Świetlicy.

I ta piosenka — podobnie jak owa Sło-  
wackiego o Koronie polskiej — z wyobraźni wy-  
snuła. Juści żaden król polski nie chodził do  
Betleem. Ale jest w tej pieśni zupełnie prawdziwy  
opis, czem byli tacy królowie nasi, co bronili,  
jak naprzykład Jan Sobieski, chrześcijaństwa  
i oświaty europejskiej przed dziecą tatarską i tu-  
recką. Jako rycerze wojacy, byli oni w żelazo za-  
kuci, — jako obrońcy Chrystusa wiary, mieli  
święcone szablce, od krwi pogan czerwone, —  
ale jako królowie łagodnego ludu rolniczego, nieśli  
w darze Betleemskiemu Dzieciatku niepokalane  
Lilje i miód i jasny len z kądzieli naszych przadek  
i kołacz z pszenicy złocistej, co wyrasta na roli,  
krwawym potem chłopskim zroszonej...



## Odpowiedzi od Redakcji.

*Do Szanownych Czytelników w Trzano-  
wicach.* Chwila za chwilą przypomina mi się  
dzień, spędzony nad Stonawką. Rzeczywistość  
ukazała mi wówczas to, co się zazwyczaj widuje  
w dalekich jeno marzeniach: lud zamożny, umie-  
jący sobie radzić, uszlachetniony oświatą, a także  
wyszła z łona tego ludu inteligencję, co sięgając  
myślą wysoko — najwyżej, sercem pozostała przy  
chatach, przy tej roli czarnej... Dzień ów szczęśliwy po-  
wiedział mi również braterską życzliwość, zapalając  
ciepłą dla wspólnych pamiątek, że jedności plemiennej  
nie rozerwie żadna siła: ani czas, ni bagnety,  
ni wsączany powoli jad obczyzny...

I jakaż pamięć ludzka o chwilach takich  
zapomnieć byłaby zdolna?

*P. Jan Piękoś pod Nowym Jorkiem.* Więc  
znowu morze dzieli Was, Panie, od rodzinnej

Wojkówki, od ziemi ojczyznej? Szkoda, że ta ziemia, do której tęskniliście przez lat dziesięć, ukazała się Wam w świetle tak smutnem, — odarta ręką złośliwej jesieni z kraszy przyrody, pozbawiona swobód konstytucyjnych przy wyborach... Ale to nie! Przyjdą czasy inne — przyjdą wiosny burzliwe i jesienie ciche, szczodre, złote — i znowu na wieczorach prządkowych poplynie piosenka:

U przasnieszki siedzą, jak anioł, dziewczeczki,  
Przędą sobie, przędą jedwabne niteczki.

Kręc się, kręc wrzeciono.  
Wię się tobie wię!  
Ta pamięta dłużej,  
Której dłuższa nić.

Poszedł do Królewca młodzieniec z wieciną,  
Łzami się zalewał, żegnając z dziewczyną.

Kręc się, kręc wrzeciono.  
Wię się tobie, wię!  
i t. d.

Ale w waszej przedalni takich słodkich piosenek nie słyhać: tam jeno maszyny huczają, warezają, zgrzytają żelaznemi zębami...

*P. Jan W. w U.* Za pomoc szczerą, umiejętną, czynną nie godzi się dawać wzamian pustych słów. Więc nawet dziękować nie będe. —

Minęły czasy, kiedy różnica wyznań dzieliła ludzi. Wiekami walki i męki, — płomieniem stosów i potokiem wylanej krwi ludzkość zdobyła względną wolność; zdobyła swobodę sumienia. A jeżeli przesąd czai się gdzie jeszcze w ciemnościach, to rozpraszcujemy ową ciemność światłem nauki i światłem miłości Chrystusowej, której naucza ewangelja.

*P. Kazimierz Różyła w Liczkowcach.* Przyjaznem słowem i najlepszem życzeniem witamy Was, Panię, po powrocie do kraju. List bardzo ładnie napisany. Widocznie dużo nauczy się można przy dobrych chęciach i bez szkoły. Ale skąd-że to przyszła myśl, żeśmy się zmienili w życzliwości? Takich myśli proszę nigdy nie dopuszczać do głowy, bo wierutnie nieprawdziwe będą, a więc i nie dobre.

*P. Bernard Kotula w Dolnych Błędowicach.* Gazetkę wysłałiśmy zaraz, ale może nie tyle egzemplarzy, eo trzeba, bośmy nie bardzo mogli wymiarkować z listu, o którym roku mowa. Natomiast wymiarkowaliśmy wnet wielką chęć do

czytania i wielką dla „Zorzy“ życzliwość, za co szczerze dziękujemy.

*P. Michał Toczek w Nozdrzu.* Mogę jeno powtórzyć to, com mówiła w grudniowym nr. „Zorzy“: nie wydaję „Przodownicy“. Od marca zeszłego roku nie mam nawet możności pisywać do tej gazetki. Szczerze się cieszę, że „Zorza“ sprawia rozrywkę i przynosi zadowolenie.

*P. Jan Forystek w Czeluśnicy.* Pośpieszam przypomnieć, że „Zorzę“ ma Pan zapłaconą nie do stycznia, ale aż do kwietnia bieżącego roku.

*P. Klemens Skawiński w Kawczyni.* „Przodownicy“ nie wydajemy, więc i nie my ją wysłaamy. „Zorza“ zapłacona do kwietnia br. .

*Młodemu Czytelnikowi we Lwowie.* „Zorza“ z pewnością będzie miała kiedyś znakomitego w Panu współpracownika. Ale dziś jeszcze nadesłanej poezji — pomimo jej zalet umieścić nie możemy.



### Od Administracji.

Ktoby nie życzył sobie prenumerować jakiej gazetki, nie potrzebuje pisać o tem do Administracji. Wystarczy, jeżeli na adresie otrzymanego numeru nakreśli słowa: Nie przyjmuję i zwróci ów numer na pocztę.



Treść numeru: A... B... C... — Głos ciekawych czytelniczek. — Odpowiedź na „Głos ciekawych czytelniczek“. — Hold ludu. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcji.